

# Praktyka

## DZIENNIKA ŁÓDZKIEGO

Rok XXI Łódź, niedziela 23 i poniedziałek 24 stycznia 1966 roku Nr 20 (5947)

- Dalszy rozwój współpracy w dziedzinie szkolnictwa, nauki, kultury, sztuki, radia, TV i wf
- Kontakty organizacji młodzieżowych

## Podpisanie umowy kulturalnej między Polską i Czechosłowacją

Wczoraj została podpisana w Warszawie nowa umowa o współpracy kulturalnej między rządem Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej a rządem Czechosłowackiej Republiki Socjalistycznej. Ze strony polskiej umowę podpisał minister spraw zagranicznych Adam Rapacki a ze strony czechosłowackiej ambasador nadzwyczajny i pełnomocny CSRS w Polsce Oskar Jelen. Nowa umowa przewiduje, że obie strony będą popierać i rozwijać dotychczasową współpracę kulturalną, w szczególności w dziedzinie

szkolnictwa, nauki, kultury i sztuki, radia, telewizji i kultury fizycznej oraz stosować wyższe formy tej współpracy, polegające na bezpośrednich kontaktach i wymianie doświadczeń między odpowiednimi organami i instytucjami obu krajów, kooperacji i specjalizacji, przy czym szczególnie uwzględniane będą te problemy, które wynikają z wielostronnej współpracy naukowej kulturalnej i gospodarczej krajów socjalistycznych. Obie strony poświęcą szczególne uwagę kontaktom organizacyjnym młodzieżowych obu

krajów, którym udzielane będzie wszechstronne poparcie i pomoc przy organizowaniu wspólnych akcji. Po podpisaniu umowy min. A. Rapacki i amb. O. Jelen udzielili wypowiedzi przedstawicielom prasy. Min. A. Rapacki zwrócił uwagę, że obecna umowa uwzględnia wszystkie te nowe, ważne elementy, jakie wyłoniły się we wzajemnych stosunkach na polu kultury i nauki. Amb. O. Jelen podkreślił, że obecnie istnieją o wiele szersze możliwości wzajemnego przekazywania sobie doświadczeń przez pisarzy, artystów, naukowców i dziennikarzy obu naszych krajów.



„Zima stulecia” bywa podobna raz na 100 lat. Kłopoty zimowe istnieją jednak co roku. O tych kłopotach oraz o ludziach, których one najbardziej absorbują czytajcie na str. 3

## Choroba XX wieku

Czy prawdą jest, że w naszych czasach wzrasta liczba zachorowań psychicznych? Czy można samemu określić stan swego zdrowia psychicznego? Czy możliwa jest jakaś gimnastyka psychiczna, która by uodporniła człowieka na schorzenia psychiczne? Takie pytania nurtują dziś wielu ludzi, zwłaszcza w wielkich skupiskach ludzkich. Próbe odpowiedzi na te i wiele innych pytań z zakresu zdrowia psychicznego podjął niedawno na łamach prasy radzieckiej znany w ZSRR psychiatra, profesor W. Banzszczikow.

żeni czy pedagodzy skłonni są dostrzegać w swym pracowniku, lub uczniu „złą wolę”, podczas gdy chodzi tu o początki groźnego schorzenia. Nie zawsze więc winą za takie czy inne zachowanie ucznia spada na wychowawcę. Tak samo, jak nie zawsze zależy to od „dobrej woli” delikwenta, Banzszczikow przytacza tu słowa kanadyjskiego fizjologa Ralfa Gerarda: „u podstaw każdej wypaczonej myśli leży wypaczona w sensie chemicznym cząsteczka.

Zwiększenie wymagań wobec układu nerwowego nie tyle powoduje zwiększenie liczby psychicznie chorych, ile ujawnia cechy schorzeń, na które dawniej nie zwracano uwagi.

Dowodem na to jest m. in. fakt, że już dziś środkami chemicznymi, farmakologicznymi potrafia lekarze oddziaływać na psychikę, wywoływać sztucznie odwagę, lek, radość i przynębnienie, euforie i apatię.

Cóż więc się zmienia z biegiem historii? Między innymi „tematyka urojeń”. W „domach bez klamek” mniej jest obecnie „Napoleonów”, za to więcej „wynalazców”. Profesor informuje, że wśród swych pacjentów ma również „badaczy kosmosu”. Jeden z nich bez przerwy dzwoni „na Marsa na numer 7-77 i wewnętrzny 777.

## Pradzieje po angielsku

W serii „Ancient peoples and places”, wielkiej angielskiej firmy wydawniczej specjalizującej się w publikacjach o sztuce ukazała się książka „Poland”, wybitnego archeologa prof. Konrada Jazdzewskiego, w której autor przedstawił w oparciu o najnowsze badania prehistorię naszego kraju od paleolitu do wczesnego średniowiecza. — Książkę wzbogacono zestawem 110 ilustracji.

To są przypadki krańcowe. Czy istnieją jednak jakieś kryteria oceny, by człowiek mógł sam określić, czy się mieści w granicach normy? Na ogół samemu trudno jest określić stan swego zdrowia psychicznego, prawie każdy człowiek ma bowiem jakieś swoje własne słabe punkty w psychice, ale większość ludzi przystosowuje się do tych braków i żyje we względnej harmonii z zewnętrznym światem. Kiedy

W przyszłości powinna ona doprowadzić do regulacji snu, emocji, a także umiejętności skierowania myśli na właściwe tory. Należy jednak przy tym pamiętać, że żaden system „gimnastyki psychicznej” nie przyniesie całkowitego sukcesu bez uzdrowienia warunków środowiskowych i panujących między ludźmi stosunków. Niesprawiedliwość, brutalność, przemoc — z jednej strony oraz własna podejrzliwość i niepewność z drugiej — są najczęstszymi przyczynami schorzeń psychicznych.

Niezbędna jest też popularyzacja wiedzy psychiatrycznej, szczególnie wśród młodzieży. Ileż to razy przelo-

## Z ŻYCIA WYJĘTE

**D**zisiejszy felieton pragnę utkać z delikatnej materii. Chodzi bowiem o kwestię wzajemnych stosunków między podwładnymi, a przełożonymi. Temat to dziwnie jakoś omijano. Domyślam się nawet dlaczego. Podwładni nie chcą się narządzać, przełożonym nie wypada, zaś grupy neutralnej nie ma.

Jak dotąd najwięcej chleba zarobili na tym układzie satyrycy. Lecz ich spojrzenie obejmowało tylko dyrektora, obejmującego z kolei sekretarkę, co jest rzeczą na pewno interesującą i pikantną, niestety, co do reszty zawężoną. Pomijanie całej reszty podwładnych jest istotnym przeoczeniem i wypaczeniem obrazu zjawiska. Stwierdzam to z całą odpowiedzialnością, tym razem nie jako teoretyk — felietonista, lecz jako długoletni praktyk — podwładny.

## Bunt

Pomóż satyrycy ujmując to zagadnienie zwykłe zbit sielankowo. Osobiście wyobrażam sobie to w ten sposób: sekretarka siedzi na kolanach dyrektora, a reszta podwładnych klęczy przed nim na kolanach i ma mu za złe, buntuje się przeciwko niemu. Mamy tu więc do czynienia z tzw. buntami na kolanach.

Znawcy problemu twierdzą bowiem, że stosunki między podwładnymi, a przełożonymi poddają się u nas najoporniej procesowi demokratyzacji. Cięży tu siła historycznych tradycji. Wszystkie dotychczasowe ustroje, ideologie i systemy społeczne oparte były na hierarchii wyższości i niższości ludzi. Długo żyła była platońska koncepcja stosunków społecznych nakazująca widzieć w przełożonych coś „wyższego” i zachowywać się wobec nich pokornie. I dziś pokutuje ona jeszcze w spotykamy często przekonaniu, głoszącym, że przełożony powinien zachować odpowiedni dystans wobec podwładnego, nie spoufalając się z nim — i aby utrzymać autorytet — zawsze mieć rację.

między takim przełożonym a podwładnym wymiana poglądów odbywa się w ten sposób, że podwładny wchodzi do niego z własnym poglądem, a wychodzi z jego poglądem.

Jeśli chodzi o dystans i sztywność, to można je jakoś narzucić, z racją jest trochę gorzej. W ogólnej sytuacji przełożonych z każdym dniem się pogarsza, gdy natomiast sytuacja podwładnych się polepsza. Przełożeni mają coraz więcej obowiązków, podwładni coraz więcej przywilejów. Z tym, że wzrost obowiązków i odpowiedzialności powoduje u kierowników niejako w sposób naturalny (ekwiwalentny) wzrost apodyktyczności i arbitralności, co dla pracowni-

## na kolanach

ków jest rzeczą przykłą. Stąd częste konflikty między nimi. W podwładnych wywołana bowiem została przez wieki całe hamowana godność osobista. Poczucie odzyskanej godności jest chyba największym darem socjalizmu. Ludzie strzegą tego daru i każdy nawet najmniejszy zamach nań budzi protest. Niestety, obrona tych pięknych treści nie zawsze odbywa się równie pięknymi metodami. Jawną krytykę zastępuje często anonimowy donos, otwarta walka — intryga. Strona atakowana również rzadko grzeszy szlachetnością, nie znosi sprzeciwu i tępi krytykę. Mimo dużego postępu i wysiłku nie możemy się dopracować jakoś, w tej dziedzinie, jasnych i czystych reguł gry.

Jeśli przecież chodzi o interesy, to dla podwładnych i przełożonych są one wspólne. Różnice między jednymi a drugimi są tylko różnicą spełnianych funkcji. Kierownik nie jest panem, lecz przewodnikiem, pracownik nie jest ślepiym wykonawcą, lecz współgospodarzem, zaś zakład pracy nie jest folwarkiem, lecz wspólną własnością.

KAROL BADZIAK

## Delegacja KC PZPR udała się na zjazd Włoskiej Partii Komunistycznej

Na zaproszenie KC Włoskiej Partii Komunistycznej, 22 bm. udała się do Rzymu na XI zjazd Wł.PK delegacja KC PZPR pod przewodnictwem członka Biura Politycznego i sekretarza KC PZPR Zenona Kłiszki.

W skład delegacji wchodzi członek KC, kierownik Wydziału Nauki i Oświaty KC PZPR — Andrzej Werblan oraz członek KC, sekretarz KW PZPR w Katowicach — Zdzisław Grudziński.

Na dworcu w Warszawie delegację zęgnali: członek Biura Politycznego i sekretarz KC PZPR — Ryszard Strzelecki, sekretarz KC PZPR — Witold Jaroński, kierownicy i zastępcy kierowników wydziałów KC oraz grupa członków KC.

## Architektura mówi o Polsce...

### Nasze WYWIADY

CHCEMY DZIŚ PANSTWU PRZEDSTAWIĆ MŁODEGO, UTALENTOWANEGO NAUKOWCA, DOC. DR. WIKTORA ZINA, KIEROWNIKA KATEDRY HISTORII ARCHITECTURY POLITECHNIKI KRAKOWSKIEJ. (POSIADA CO Z TELEWIZORÓW ZNAJĄ GO Z AUDYCJI „PIORKIEM I WĘGLEM”).

DOC. DR. ZIN WYKŁADA SWÓJ PRZEDMIOT JUZ PRZESZŁO 15 LAT. OD PRZE SZŁO 15 LAT TROPY TEZ ŻYWE DOKUMENTY HISTORII ARCHITECTURY, M. IN. NA LUBELSKOZCZYŃNIE, NA ZIEMIACH ZACHODNICH ORAZ W KRAKOWIE. W TYM OSTATNIM DOKONAŁ SZEREGU REWELACYJNYCH ODKRYCÍ W CZASIE PRZEBU DOWY RYNKU), WNOŚZĄC ZASADNICZE POPRAWKI DO HISTORII KRAKOWA.

— Które z odkryć i w jakim stopniu zrekonstruowały istniejące dotychczas poglądy?

— Zanim przejdę do meritum sprawy — ważką informacją. Otóż badaniami Krakowa zajmował się w XIX w. Władysław Łuszczkiewicz, historyk sztuki i malarz (notabene uczeń Matejki). Obdarzony nieprzeciętną intuicją potrafił zebrać sporo ciekawego materiału. Nasze poszukiwania oparły się jednak nie na „intuicję”, ale na najnowocześniejsze metody, wchodzących w zakres miernictwa, fotogrametrii, chemii itp. Nie były to już badania przypadkowe, lecz łańcuchowa reakcja, w której wnioski, wynikające z „ogłędzin” jednego obiektu sprawdzano i przenoszono na zabytki sąsiednie.

Posypały się odkrycia. M. in. ujawniły się znaleziska, wyprzedzające o kilkanaście lat początki zorganizowanej społeczności. Odkryty został romański kościół Mariacki (pod istniejącym gotyckim), przedromański św. Wojciecha i jeszcze starsza drewniana budowla w najgłębszych warstwach fundamentów. Resztki paleniska sugerują istnienie w tym miejscu słowiańskiej gontyni.

Dalej trzeba wymienić rotundę i romańskie palatium na Wzgórzu Lasoty, pod Krakowem, kościół w kształcie krzyża greckiego (jedyny w architekturze polskiej) na Wzgórzu Salwatorskim, najstarsze Sukiennice, najstarszy fragment ratusza itd. W oparciu o te, jakże materialne, pomniki architektury, udoświadcziliśmy istnienie budowli dużo wcześniejszych niż to sugerowały przekazy ustne. Zadałiśmy tym samym kłam twierdzeniom hi-

storyków niemieckich, jakoby kościół Mariacki był „darem” germańskiej kultury, a istnienie murowanego Krakowa zapoczątkowała lokacja, na prawie niemieckim.

Stwierdziliśmy, że na długo przed ową lokacją, istniały tu zorganizowane ośrodki osiedleńcze, po których pozostało około 20 centrów — murowanych obiektów sakralnych. Badania na wzgórzach Salwatora i Lasoty udowodniły także nieprzerwaną ciągłość osadnictwa od czasów kultury łuczyckiej po dzień dzisiejszy, czyli na przestrzeni 2500 lat.

— Słyszeliśmy, że „nie, co krakowskie, nie jest panu obce” i że nie ma tu już chyba w tej chwili zabytku, który nie byłby przez pana narysowany?

— O, to wielka przesada! Mam co prawda kilkanaście tysięcy rysunków, ale to zaledwie ułamek krakowskich zasobów. Zwłaszcza, że pełno wśród nich pejzaży, wnętrz i scen rodzajowych z innych regionów kraju oraz studiów kostiumologicznych. Te ostatnie to m. in. wynik eksploracji na terenie Rynku Głównego. Tu bowiem pod kościołem Mariackim odkryłem kilka tysięcy trumion. Otwierając je miałem swego rodzaju przegląd dawnej mody — ubrania, suknie, nakrycia głów, ozdoby... Prawda jest natomiast, że Kraków mnie zafascynował. Nie tylko swoją urodą. W nim widzę zarówno dawną stolicę Jagiellonów jak też centrum prototypów architektonicznych, które rozeszły się po całej Polsce.

(Dalszy ciąg na str. 3)

### Przygoda na Antarktydzie

## \* Korespondent PAP w tarapatkach \* Samolot „LI 2” obsunął się do wody

Samolot radzieckiej wyprawy antarktycznej, którym wraz z polarnikami radzieckimi leciał korespondent PAP, wpadł podczas lądowania do jeziora w Oazie Bunge na Antarktydzie, jednakże wszyscy zdołali się uratować.

W „LI-2” pilotowanym przez I. Stiepanowa, znajdowali się dyrektor stacji „Mirnyj”, I. Dubrowin, polarnik z II wyprawy antarktycznej, W. Borisow oraz moskiewski korespondent PAP, Bronisław Majt czak przebywający obecnie na Antarktydzie, jako specjalny wystannik PAP.

Samolot dotarł pomyślnie nad Oazę Bunge i osiadł na lodowej tafli, pokrywającej jedno z tamtejszych jezior, gdy nagle lód załamiał się pod ciężarem maszyny. Samolot odsunął się, ale zawisł na skrzydłach. Polarnicy zdołali wyostać się na lód i dotrzeć do stacji, gdzie znajdowały się zapasy żywności. Stałamt powiadomili o wypadku drogą radiową stację „Mirnyj”.

W sobotę samolot „IL-14” wyładował w pobliżu stacji „Do browski” na lodzie polskiej zatoki i zabrał polarników.

## Komitet 18 państw wznawia obrady

W przyszłym tygodniu w Genewie wznawia pracę Komitet Rozbrojeniowy 18 Państw. Jak dotychczas, prace komitetu nie przyniosły rezultatów. Stało się tak z powodu stanowiska zajmowanego przez mocarstwa zachodnie. Na razie nie widać żadnych znaków wskazujących, by zmieniły one swój punkt widzenia na najważniejsze zagadnienia.

## Plk Caamano opuszcza Dominikanę

Agencje zachodnie doniosły w sobotę wieczorem, że o godzinie 20 (czasu warszawskiego) samolot wiozący pułkownika Caamano i trzech innych oficerów byłych sił powstańczych opuścił Santo Domingo. Przywódcą prawicy generał Caminerro zapowiedział w sobotę, że najwyższa rada wojskowa, w której skład wchodzi dowódca poszczególnych rodzajów broni i ich zastępcy, ustosunkuje się w przyszłym tygodniu do wydanego przez prezydenta Garcíę Godoyę rozkazu opuszczenia kraju przez kilkunastu oficerów prawicowych.

## Spotkanie z oficerami Wojska Polskiego

Wczoraj, z okazji 21 rocznicy wyzwolenia naszego miasta odbyło się w gmachu WRN uroczyste spotkanie kierownictwa władz partyjnych i administracyjnych Łodzi i woj. łódzkiego z oficerami WP. Uczestniczyli w nim m. in. I sekretarz KL i KW PZPR — Józef Spychalski i

Stefan Jedryszczak, przewodniczący prezydium RN m. Łodzi i WRN — Edward Kąmierzczak, Franciszek Grochalski, prezes WK ZSL — Tadeusz Sitek oraz sekretarz WK SD — Zygmunt Oleczak. Spotkanie prowadził Franciszek Grochalski, a w imieniu gospodarzy głos zabrał Stefan Jedryszczak. Zwrócił on uwagę na szczególną okazję, jaką jest rocznica wyzwolenia Łodzi, podziękowania tym, którzy walczyli o niepodległą Polskę. Przechodząc do okresu bliższego, omawiając w ogólnych zarysach osiągnięcia ostatniej 5-letki i perspektywy lat przyszłych, podkreślił raz jeszcze wkład żołnierzy WP w budowę pokojowej rzeczywistości. W jednym roku 1965 wartość prac wykonanych przez wojsko na terenie Łodzi i województwa wynosiła 2.255 tys. zł. Dzięki ich pracy otrzymaliśmy wiele parków, basenów, to oni pracowali m. in. przy budowie wiaduktu na Zabieciu i torowisk na ul. Gagarina, w tym samym roku odbyli 1120 spotkań z ludnością, wysłuchaliśmy 260 koncertów w wykonaniu ich zespołów. W imieniu zaproszonych głos zabrali ptk. J. Karcz, ptk. Piotrowski, ppłk. S. Niuszko i E. Kowal.

## Czwarta bomba „A” wpadła do morza?

Według poprzednich doniesień z Almerii, Amerykanom udało się z czterech bomb atomowych, które znajdowały się na pokładzie samolotu „B-52”, odnaleźć trzy.

W sobotę Agencja Reutera podała, że amerykańscy eksperci atomowi, po 5-dniowych poszukiwaniach na terenach lądowych i morskich w okręgu Cuevas de Almanzora, o-rzekli, że czwarta bomba wpadła prawdopodobnie do morza.

### Zmiana kwalifikacji czynu

## Wyrok w procesie B. Sobolewskiego

Wczoraj Sąd Wojewódzki w Łodzi orzekł wyrok w procesie Bogdana Sobolewskiego (zam. w Warszawie), który w czwartek ubiegłego roku pilotował samolot opylający PZL-101, typu „Gawron”, runął z nim na ziemię w pobliżu miejsca lądowania (wieś Skrzyńki, pow. Łęczyska). Pilot wyszedł z katastrofy bez szwanku, natomiast lekkim obrażeniem uległ pasażer — H. W. Akt oskarżenia zarzucał oskarżonemu spowodowanie katastrofy na skutek nie prawidłowego pilotażu (rzekomo leciał on poniżej przepisowej wysokości). W trakcie przewodu sądowego kwalifikacja prawna jego przestępstwa uległa zmianie i Bogdan Sobolewski odpowiada jedynie za niezgodne z przepisami zabranie pasażera na pokład samolotu nie przystosowanego do tego. Z innych zarzutów sąd oskarżonego uniewinnił, skazując go jedynie na 5 tys. zł grzywny. (dw)

W dniu 21 stycznia 1966 r. zmarła nasza najukochańsza Matka, po wieloletniej i ciężkiej chorobie, przeżywszy lat 66

S. + P.  
**Władysława Barczyńska**  
z PAWLAKÓW  
Pogrzeb odbędzie się dnia 23 stycznia 1966 roku, o godz. 14.30. Wyprowadzenie zwłok nastąpi z kościoła św. Józefa przy ul. Ogrodowej na Stary Cmentarz, o czym powiadamiają, pogrążeni w głębokim żalu  
SYN, CORKA, SYNOWA I WNUCZKI.

istnieje pięć mocarstw nuklearnych. Wiadomo jednak, że co najmniej 10 państw, m. in. NRF, w łstocie rzeczy jest w stanie rozpocząć produkcję bro ni nuklearnej.

Każda złotka, każde odłożenie na przyszłość sprawy zawarcia międzynarodowego układu wzmagają niebezpieczeństwo, niemniej jednak rządy takich mocarstw nuklearnych jak USA i W. Brytania dotychczas nie chciały położyć temu kresu, usiłowali bowiem znaleźć jakiś sposób utworzenia drogi do broni jądrowej Niemcom zachodnim.

Dosłownie w przededniu rozpoczęcia konferencji w Genewie prez. Johnson zażądał od Kongresu USA dodatkowych kredytów wojskowych na sumę 12,761 mln dolarów. Czy nad Potomakiem i nad brzegami Tamizy myślili się choć trochę poważnie o rozbrojeniu? Chyba nie.

Waszyngton i jego najbliżsi sojusznicy są teraz zajęci zupełnie innymi problemami — wojną i wysiłkiem zbrojnym oraz szukaniem wybiegów, które pozwoliłyby na zaspokojenie atomowych apetytów bońskich odwetowców.

## Milionowy kontrakt handlowy z RUMUNIA

Centrala Handlu Zagranicznego „Universal” zawarła kontrakt z odbiorcami rumuńskimi na dostawę w pierwszym półroczu do Rumunii 7,5 tys. szt. kineskopów telewizyjnych, 20 tys. szt. żelazek elektrycznych z termoregulatorami, oraz ponad 1 milion baterii. Łączna wartość dostaw przekracza kwotę jednego miliona złotych dewizowych.

Niezależnie od powyższej transakcji, będącej jedną z pierwszych, zawartych przez nasze centrale handlowe z odbiorcami rumuńskimi po podpisaniu 5-letniej umowy o wymianie gospodarczej, przedstawiciele szeregu innych central polskich handlu zagranicznego prowadzą z centralami rumuńskimi rozmowy na temat dostaw towarowych na rok bieżący.

## „Kosmos 105” wszedł na orbitę

W Związku Radzieckim wystrzelono kolejnego satelitę Ziemi „Kosmos 105”. Na pokładzie satelity umieszczono aparaturę naukową przeznaczoną do kontynuowania badań przestrzeni kosmicznej zgodnie z programem ogłoszonym przez Agencję TASS 16 marca 1962 r. Sputnik został umieszczony na orbicie, której maksymalna odległość od powierzchni Ziemi (apogeum) wynosi 324 km, zaś minimalna odległość od powierzchni Ziemi (perigeum) wynosi 204 km. Umieszczona na sputniku aparatura funkcjonuje normalnie.

## Odchudziła się na śmierć

W szpitalu w Rehu w Bawarii zmarła z wycieńczenia 21-letnia studentka. Jak wyka zało śledztwo, opoanowana manią utrzymywania smukłej linii, od przeszło roku dziewczyna prawie nie jadła a oprócz tego systematycznie zażywała środki odchudzające. Na krótko przed śmiercią ważyła już tylko niespełna 32 kg. W końcu stan jej tak się pogorszył, że nieprzytomną zabrano ją do szpitala, gdzie nie odzyskała już przytomności.

## Warszawa

## Zakończenie konferencji naukowej poświęconej problemom Afryki

W sobotę zakończyła się w Warszawie zorganizowana przez PISM i TPP-A dwudniowa konferencja naukowa poświęcona problemom rozwoju niepodległej Afryki.

Interesujące dane z zakresu współpracy gospodarczej i naukowo-technicznej Polski z państwami Afryki przedstawił mgr Jerzy Schwakopf. Jeszcze nie tak dawno Polska była w Afryce prawie zupełnie nieznana. Dziś udział krajów afrykańskich w obrotach PRL z krajami trzeciego świata wynosi 31,5 proc. po stronie importu i 26,3 proc. w eksporcie. Ponad to zawarliśmy umowy o współpracy naukowe i technicznej z 15 państwami Afryki.

## Kronika wypadków

W Sieradzu prowadzący samochód, E. Skieplik z Poznania spowodował zderzenie z samochodem prowadzonym przez W. Rybaka z Warszawy. W wyniku zderzenia, zona Rybaka Cecylia poniosła śmierć, a on i dziecko doznał obrażeń ciała.

W Tuszynie pod tramwaj 42/5 dostała się 4-letnia Teresa Kudra, która doznała poważnych ran i przebywa w szpitalu (kl)

## Polsko-bułgarska umowa kulturalna

W sobotę, 22 bm. podpisano w Sofii plan współpracy kulturalnej i naukowej pomiędzy Polską a Bułgarią na lata 1966-67. Plan przewiduje dalsze rozszerzenie polsko-bułgarskiej współpracy w zakresie nauki, szkolnictwa wyższego oraz kultury i sztuki.

## Nowe machinacje Londynu?

## Brytyjski plan w sprawie Rodezji

Jak donoszą z Lusaki, w zambijskich kołach politycznych mówi się wiele o ustalonym przez Londyn „nowym planie” w sprawie przyszłości Rodezji. Plan ten omawia obecnie z rządem brytyjskim sędzia rodezyjskiego Sądu Najwyższego Hugh Beadle, który odgrywa rolę pewnego rodzaju pośrednika między reżimem Smitha a rządem brytyjskim.

Istota planu polega na tym, aby w skład rasistowskiego rządu Smitha włączyć kilku „liberalów” spośród białych osadników, jak również kilku „umiarkowanych” Afrykanów i stworzyć w ten sposób „narodowy rząd” Rodezji. W kołach zambijskich uważa się, iż manewr ten ma służyć niedopuszczeniu do udziału w rządach przedstawicieli dwóch głównych afrykańskich partii politycznych w Rodezji — Afrykańskiego Ludowego Związku Zimbabw (ZAFU) i Afrykańskiego Narodowego Związku Zimbabw (ZANU), których przywódcy znajdują się w więzieniach i obozach kon-

## Smith nie uznaje decyzji królowej

Pomiędzy Wielką Brytanią i rządem rodezyjskim doszło do nowego ostrego spicia. Królowa Elżbieta skorzystała z prawa łaski i zamieniała karę śmierci wydaną przeciwko dwóm Murzynom rodezyjskim na karę dożywotniego więzienia. Murzyni „odpowiedzieli” za usiłowanie kradzieży i podpalenia budynku. Według Agencji Reutera, rząd Smitha oznajmił, że nie uznaje decyzji królowej Elżbiety przynajmniej w stosunku do jednego ze skazanych o nazwisku Lazarus.

## Ogólnopolska narada geodetów w Łodzi ZIELONE ŚWIATŁO dla wynalazców i usprawnień technicznych

Wczoraj odbyła się w Łodzi ogólnokrajowa narada wy malaczów zrzeszonych w Klubach Techniki i Racjonalizacji, działających przy przedsiębiorstwach geodezyjnych w Polsce. W obradach uczestniczyli także przedstawiciele departamentów techniki z Ministerstw: Górnicztwa i Energetyki, Rolnictwa, Spraw Wewnętrznych oraz Instytutu Geodezji i Kartografii i Woj. Klubu Techniki i Racjonalizacji w Łodzi.

Celem narady było zapoznanie wynalazców z zadaniami Klubów TIR zaplanowanymi na rok 1966. Podstawowy referat pt.: „Kluby TIR w geodezji, ich organizacyjne zadania na polu szerzenia postępu technicznego” — wygłosił inż. I. Santer z WK TIR w Łodzi. Przedstawiciele okręgu łódzkiego przedstawili też opracowany przez nich regulamin konkursowy na najlepszy klub w ramach ogłoszonego na br. współzawodnictwa.

Warto podkreślić, iż wiedząca rola działaczy techniki okręgu łódzkiego ma swoje uzasadnienie w najlepszych w skali krajowej osiągnięciach klubów łódzkich (ponad 50 proc. tych klubów działa na naszym terenie). Osiągnięcia te obrazuje też największa w

## Ze sportu

### Liga hokejowa

Baidon — Cracovia 3:5 (0:0, 1:3, 2:2).  
Naprzód — Podhale 3:3 (2:1, 0:2, 1:0).  
Polonia — GKS (Katowice) 5:3 (3:1, 0:1, 2:1).  
Pomorzanin — Górnik Murcki 6:2 (2:1, 3:1, 1:0).

## Stosunki indyjsko-pakistańskie wracają do normy

India i Pakistan osiągnęły w sobotę porozumienie w sprawie odsunięcia pozycji swych wojsk wzdłuż linii rozzejmowej.

Jest to pierwszy konkretny rezultat deklaracji taszkencieckiej, podpisanej przez prezydenta Pakistanu, Ayub Kha-

na i nieżyjącego już premiera Indii Shastriego, zmierzającej do unormowania stosunków między obu krajami.

Komunikat ogłoszony w Delhi po spotkaniu dowódcy armii pakistańskiej, gen. Mussy i szefa sztabu armii indyjskiej, gen. Chowdhuriego, oznajmia, że uzgodniono plan odsunięcia pozycji wojsk obu krajów wzdłuż granicy.

Rzecznik indyjskiego Ministerstwa Obrony oświadczył, że zgodnie z tym planem, obie strony wycofają swych żołnierzy kilkaset metrów w głąb swego terytorium.

Źródła międzynarodowe oświadczyły w sobotę, że gen. Musa i gen. Chowdhuri uzgodnili tak że terminy uwalniania jeńców. Liczba jeńców po obu stronach wynosi około tysiąca.

Źródła poinformowane oświadczyły, że od niedzieli samoloty pakistańskie będą mogły latać nad terytorium indyjskim bez specjalnego zezwolenia.

Obie strony badają możliwość wznowienia normalnej wymiany handlowej.

## Wietnam

## Mimo zawieszenia broni 66 incydentów zbrojnych

Od momentu rozpoczęcia noworocznego zawieszenia broni w śróde o północy, do soboty wieczór dowództwo amerykańskie w południowym Wietnamie naliczyło 66 rozmaitych incydentów zbrojnych, jednakże ani razu nie doszło do większych walk.

Rozejm, ustanowiony z inicjatywy powstańców w związku z nowym rokiem księżycowym, kończy się dziś wieczorem.

W Hanoi ogłoszono, że w czwartek i w piątek, a więc już w czasie świąt noworocznych, samoloty amerykańskie, startujące z okrętów 7 floty i z baz w południowym Wietnamie i Syjamie kontynuowały prowokacyjne i szpiegowskie loty nad czterema prowincjami DRW.

Przez kilka godzin płonął w sobotę w Sajgonie magazyn amerykańskiej misji pomocy gospodarczej dla południowego Wietnamu.

Powołując się na oświadczenie rzecznika USA, korespondent Reutera donosi z Sajgonu, że według wstępnego szac-

unku, pożar spowodował straty na sumę 400 tys. dolarów. Przyczyną wybuchu pożaru była nieznana.

Eksplodowała bomba podłożona przez patriotów południowo-wietnamskich wstrząsnęła w sobotę budynkami koszar żołnierzy amerykańskich nieopodal lotniska sajońskiego Tan Son Nhut.

Jak podaje korespondent Agencji AP z Sajgonu, w wyniku eksplozji jeden żołnierz amerykański został zabity, a kilku innych odniosło ciężkie rany.

## NRF będzie budowała urządzenia strategiczne w Wietnamie pld.

W najbliższych dniach ma się odbyć konferencja, na której minister spraw wewnętrznych NRF, Luecke omówi z przedstawicielami zachodniemieckiego przemysłu budowlanego plany „pomocy” NRF dla południowego Wietnamu. Prze-widuje się wysłanie tam inżynierów oraz personelu technicznego a także dostawy maszyn produkcji NRF, które mają być użyte przy budowie urządzeń strategicznych w południowym Wietnamie.

Tak na przykład w sobotnim numerze „Frankfurter Allgemeine Zeitung” komentator wojskowy tego pisma Adalbert Weinstein ogłosił specjalny artykuł podkreślający wagę budowy dróg strategicznych w południowym Wietnamie dla ofensywnych planów dowództwa amerykańskiego.

## Prezydent Saragat szuka kandydata na premiera

W sobotę prezydent Włoch, Saragat rozpoczął konsultacje z przedstawicielami życia politycznego kraju celem desygnowania kandydata na premiera następnego rządu.

Przewiduje się, że misja sfornowania nowego gabinetu zostanie ponownie powierzona Aldo Moro.

Istotną przyczyną kryzysu stał nowy fakt całkowitej inercji rządu w dziedzinie reform społecznych.

Również jego polityka zagraniczna, wyrażająca się w pełnym „zrozumieniu” dla działań noszących amerykańskiej w Wietnamie, Dominikanie i całej Azji południowo-wschodniej na polityka zdecydowany opór społeczeństwa.

## POGODA

Dziś w Łodzi zachmurzenie duże z możliwością opadów śniegu, śniegu z deszczem lub marznącej mżawki. Temperatura 0 st. C. Wiatry słabe i umiarkowane z kierunków południowo-wschodnich. Jutro po goda bez zmian.

## Po porwaniu Ben Barki Poważne reperkusje międzynarodowe

Ostatnie wydarzenia w sprawie Ben Barki: tajemnicze samobójstwo agenta francuskiego wywiadu — Figona i rewelacje podane przez niego przed śmiercią, wywołują coraz poważniejszą reperkusję międzynarodową.

Władze marokańskie, które dotychczas zachowywały wsty dliwe milczenie w tej sprawie obecnie, po wydaniu przez

Francję międzynarodowego na kazu aresztowania marokańskiego ministra spraw wewnętrznych i wysokich funkcjonariuszy marokańskiego bezpieczeństwa, nie ukrywają swego oburzenia. W czasie oficjalnych modlitw dworskich władca marokański okazywał generalowi UKrowi demonstracyjnie wględy, na które zwrócił uwagę wszyscy korespondenci obecni na uroczystości.

Dalszy ciąg wywiadu  
"PANORAMY"



Powiada się, że architektura jest wytworem kreślonej kultury, a zarazem jej narzędziem. Czy istnieje jakieś prawidłowości w rozwoju form architektonicznych?

— Prawidłowości istnieją — są przy tym bardzo komplikowane. Nie można np. określić ich regułą: czym bogatsze społeczeństwo, tym bogatsza architektura. W dziejach mamy bowiem epizody charakteryzujące się dużą stabilizacją ekonomiczną, a równocześnie bardzo słabymi rozwiązaniami architektonicznymi. Nie można także prawideł, rządzących rozwojem architektury sprowadzać do stwierdzenia, że im później w czasie, tym architektura lepsza. Bo przecież w czasach starożytności, przy niewielkim stopniu technicznym, powstawały dzieła monumentalne, podczas, gdy w okresach późniejszych było ich mało. Mówiąc zatem o prawidłowościach rozwoju architektury, należałoby podkreślić istnienie skomplikowanego charakteru przyczyn wywołujących skutki — konkretne dzieła z ich funkcją, konstrukcją i plastycznym pięknem. Kryteria oceny dzieł architektonicznych są na pewno inne dzisiaj niż np. w okresie gotyku czy renesansu. I dlatego błędem już jest doszukiwanie się analogii pomiędzy tamtą architekturą a obecną. Nas zachwycia i dziwi finezja pałaców dożył w Wenecji. Wydaje mi się jednak, że ascynująca architektura dzisiejszego kombinatu przemysłowego, swoiście piękna, groźna w swoim wyrazie, niepokojąca w swej skali, przypominająca blizny, żywy twór — również zachwycałaby XVI-wiecznych wenejcian.

Można natomiast, eliminując przeżycia estetyczne, mieć rozważania na temat trwałości architektury powiązania jej z realnie toczącym się życiem. — Dydaktyka, poszukiwania śladów przeszłości, utrwalanie na papierze istniejących cudów architektury (ostatnio m. in. budynków drewnianych, które łączyły swego kresu) nie wyzerpują chyba wszystkich pana pasji? Słyszeliśmy bowiem również o próbach pisarskich...

— Rzeczywiście są to próby. Spróbowałem utrwalić na piśmie swoje wrażenia z wędrowek po Polsce. Próbuje teraz nadać książkowy kształt moim telewizyjnym gawędom. Chciałbym poza tym opracować rysunkowo i tekstowo ruiny polskich zamków obronnych. Z okresu penetracji Starego Miasta zebrało się sporo notatek, dotyczących jego mieszkańców. To Kraków, którego nie znamy. Na koniec moje hobby: dramatyczne. Nie daje mi spokoju. Próbuje pisać sztuki współczesne. Może właśnie za współczesne? To zresztą „wariacka” historia...

— Proszę nam zdradzić wobec tego tajemnicę: jak pan znajduje czas na te rozliczne zajęcia? — To kwestia bardzo dobrych współpracowników w katedrze. Poza tym zaś... już Leonardo mówił, że minuta trwa dłużej niż by się wydawało...  
Rozmawiał: JERZY STEFKO

Ile waży student?

Zakład Higieny Akademii Medycznej w Gdańsku przeprowadził szczegółowe badania ponad 8 tys. studentek i studentów. Ponieważ środowisko akademickie reprezentuje młodzież z różnych stron kraju, różnych środowisk społecznych i warunków domowych, przeto i wyniki tych badań są wysoco reprezentatywne.

Okazuje się, że przeciętny wzrost dziewcząt wynosi dziś ponad 162 cm i ma wciąż tendencję do dalszego wzrostu. Charakterystyczny jest przy tym fakt, że siedemnastoletnie studentki są o 1,7 cm wyższe od swych dwudziestoosześcioletnich koleżanek. Po prostu dzieciństwo tych ostatnich przypadło jeszcze na okres wojny i okupacji — i te warunki odbiły się niekorzystnie na młodych organizmach.

Podobnie wyglądają pomiary studentów. Przeciętny wzrost przekracza 175 cm. A więc młode dziewczęta i młodzieńcy są o 10-12 cm wyżsi niż przed wojną. Krzywa wzrostu nie pokrywa się jednak z krzywą wagi. Wśród studentek młodszych występuje wyraźny nadmiar przyrostu ciała. Dopiero od 20 lat i wyżej te nadprogramowe kilogramy spadają, co może należy tłumaczyć także większą dbałością o linię. U studentów sytuacja jest odwrotna. Do 20 roku życia przeważa typ z wyraźnym niedoborem ciała, a u 1/4 z tej grupy odchylenie od normy sięga na wet 5-7 kg. Być może, że przyczyną jest tu nie zaokończony jeszcze całkowicie u dojrzewających wojnie od dziesięciu lat proces rozwoju fizycznego i dlatego przeważają młodzieńcy wysocy, ale bardzo szczupli.

Z przeprowadzonych badań nasuwają się już lekarzom pewne wnioski. Przede wszystkim dotyczą one potrzeby stoczenia

szczęśliwą opieką lekarską studentów młodszych lat, przez zrywających intensywną fazę swego rozwoju fizycznego.

mikroteka GRAFIKI



możliwi miłośnikom czarnej kreski skompletowanie „miniatur” tej pięknej dyscypliny sztuki. Między Czytelników, którzy nadsyłają na adres „Panoramy” zebrane w ciągu miesiąca kupony rozlosujemy oryginalne reprodukcje prac.

Mikroteka grafiki Kupon 1 23 I. 1966 r.

„Chłopiec z Sycylii” — N. Noryt. Autor Jerzy Urbanowicz, absolwent PWSSP w Łodzi, uczeń wielu wyślaw okręgowych i ogólnopolskich.

Architektura mówi o Polsce...

Był to rok 1945

styczeń, koniec okupacji hitlerowskiej. Skończył się lat 19, on miał lat 22, młody przystojny, pełen osobistych uroków. Nie obcowalam do tej pory z innym chłopcem, byłam bardzo surowo wychowana przez ojca. Pierwszy nasz pocałunek w czasie towarzyskiej zabawy zdecydował. Po trzech miesiącach znajomości wzięliśmy ślub, mimo że wiedziałam, że to nieślubny związek. Już po ślubie zorientowałam się, że mąż mój ma kilka nieprzyjemnych wad, w tym i tę, najgroźniejszą — zbyt często zagłada do kieliszka. Zaczęłam ostrą i zdecydowaną walkę, która jeszcze bardziej się zmogła, gdy urodziła się nam córeczka. Jednak po dwu latach zmęczona, a może zmęczona spowodowałam, że mąż opuścił dom.

Byliśmy daleko od siebie, a jednak bardzo blisko. Złowiliśmy łapczywie każdą wiadomość o sobie, udając naturalnie, że nie nas to nie obchodzi.

Przez pewien okres przybołała go jakaś litościwa współczująca mu „babka” (wchował Boże wszystkie kobiety walczące o szczęście rodzinne od takich typów kobiet). Ja w międzyczasie miałam dość intrygantną propozycję małżeństwa. — Ale jednak zdecydowałam się, co chyba trzeba nazwać „miłością”. Jakaś wewnętrzna siła pchnęła nas znowu do siebie. Ten okres rozłąki się był dobrą szkołą dla męża. Zrozumiał swój błąd, zmienił postępowanie, przestał pić.

W tym roku minęło 20 lat naszego małżeństwa. Przez ten

Mając 21 lat wziąłem żonę

Pracownica umysłowa lat 39

kobietę starszą ode mnie o 5 lat. Z zawodu była nauczycielką, a ja księgowym. Trzy lata upłynęły w zgodzie i spokoju. Kochaliśmy się. Przyszła na świat syna w naszym szczęście domowe wkładki się wróg — alkohol.

Zacząłem pić, a po tym idzie, kłótnie i awantury stały się codziennym zjawiskiem w domu. Pracę za pracę zmieniłem. Za radą żony rozpoznałem leczenie w przychodni przeciwalkoholowej. Byłem 12 razy w szpitalu w „Kochanowcu” na kuracji odwykowej i to nie pomogło. Po wyjściu ze szpitala nadal piłem na umór. Żona tłumaczyła, plała, ja natomiast przyrzekałem poprawę, a potem — piłem. Z biegiem czasu zacząłem sprzedawać nie tylko swoje rzeczy, ale i żony, na wódkę. Żona postarała się o umieszczenie mnie w Zakładzie Odwykowym w Głazach. Chciała i robiła wszystko, by dziecko miało ojca. Po 5-miesięcznym pobycie uciekłem stamtąd.

Kolejny etap mego picia zaprowadził mnie na lawę oskarżonych. Pierwszy wyrok brzmiał — 3 miesiące. Karę odbyłem na Sikawie. Żona wraz z dzieckiem odwiedzała mnie i wierzyła, że po wyjściu będę innym człowiekiem. Ale i tu ją spotkał zawód i rozczarowanie. Rozwiódłmy się i wyeksmitowano mnie z mieszkania. Następnego wyroku brzmiał — 2 lata więzienia. Przez te dwa lata, mimo rozvodu, żona pomagała mi w dalszym ciągu. Po opuszczeniu więzienia wróciłem do swego mieszkania, które po eksmisji otrzymałem z kwatery. Co robiłem? Zamiast przestać pić i zabrać się do uczciwej pracy, czego była żona ode mnie wymagała (było to warunkiem naszego pogodzenia się) wdałem się w towarzystwo dla mnie zupełnie nieodpowiednie. Z mieszkania zrobiliśmy knajpę. Matka i siostry oraz starszy brat wyrzekli się mnie i wcale moją osobą się nie interesowali.

W wyniku takiego trybu życia odmroziłem nogi. Zachorowałem i leżałem w swoim mieszkaniu nie opalonym, bez pościeli (pościel sprzedałem na wódkę) przez 3 dni, nieprzytomny. Finał tej sprawy rozegrał się w szpitalu. Amputacja obu nóg, następnie szpital wojskowy — reamputacja. Walczyłem ze śmiercią 6 miesięcy. Rezultat — brak dwóch nóg powyżej kolan, sztywny prawy staw biodrowy.

Żona była jedyną osobą, która mnie odwiedzała i dziecko której wszystkie przyrzekałem. Uratowała mi drugi raz życie.

Żonę bardzo kocham. Ona i tylko ona jest prawdziwym moim przyjacielem.

RENCISTA — lat 32

Mam dziś 35 lat

osiedliłem się, kiedy miałem 20 lat, niedoświadczony, bo jeszcze przed wojskiem. Pierwsze dni naszego małżeństwa — żona miała lat 16, nie układały się zbyt dobrze. Tęskniłem za kolegami i często uciekałem jej z domu, żeby iść z nimi na wódkę, czy po prostu pochodzić sobie. Potem na długie dwa lata powołano mnie do wojska. Po powrocie z wojny, dopóki nie zetknąłem się z kolegami, byłem, jak to się mówi „na mebla”. Ale... raz poszedłem z nimi na wódkę, drugi raz i to mi zaczęło ponownie smakować. Kiedy żona urodziła pierwszego synka, byłem na wszystko obojętny, bo stałem się ojcem — obojętny — o wódkę. Żona często płakała, ale ja słuchałem tylko kolegów. A oni mówili: „co tam kobieta, niech siedzi w domu i garnków pilnuje”. Kiedy jednak zostałem zwolniony z pracy za wódkę, kiedy koleżdy mnie też opuścili, bo nie miałem za co im stawić, wtedy dopiero zrozumiałem, jak żyć... Stałem się prawdziwym ojcem, rzuciłem kolegów i wódkę, po magalem żonę we wszystkim. Dzieliliśmy się z nią każdym smutkiem i radością. Dziś mam już trzech synów — odczołanych i nie wyobrażam sobie życia bez mojej żony i moich dzieci. Nie przychodzi nigdy do domu pijany, aby chłopcy nie powiedzieli, że tatuś też tak robi. Jednym słowem żyjemy dobrze. Brakuje nam często pieniędzy, bo żona zarabia chałupniczo tylko 1.000 zł, a ja 2.200 — ale się żyje w zgodzie. To więcej znaczy...

SLUSARZ — lat 35

Opr. I. D.

Jeszcze jeden mazur dzisiaj...

— Marian! — słyszysz? No, Marian — wstawaj do jasnej...! Jedziemy! Wysoki, okutany w kożuch mężczyzna, który wszedł przed chwilą do dyżurki, wpuszczając za sobą podmuch ostrego, zimnego wiatru, szturcha śpiącego. — Co jest, pali się, czy co? — Pali! Ubieraj się — jedziemy. Na drodze jakby diabli mazura wywijali — znowu trzeba odgarniać. Piaskarka już pojechała... Wyrwany przed chwilą ze snu kierowca wbiła się w kożuch i robiąc do mnie „oko” — mówi w stronę kolegi: — Diabli?... Ee... chłopie, teraz to jeszcze nic — żebyś ty widział co się tu działo w zeszłym roku... Od Rydwana do Kolacina, 21 kilometrów, jechałem równo 17 godzin. A jak przyszło się odkopywać, to śnieg miałem w butach, za kołnierzem i pod



pachami. Tamtej nocy to my odtańczyliśmy ładnego „mazura”. Na dworze, mimo kożuchów, zimno przesywało na wskroś. Śnieg wprowadził przestal padać, ale mróz nie popuszcza ani na moment. Tym, którzy wyjechali teraz na trasę z plugami przymocowanymi do starych, pochodzących z demobilu „Studebackerów” (mnie, one chyba jeszcze w Berlinie były...), najbardziej dało się jednak we znaki ów, iście diabelski, tanciec wiatru, zsypującego na szosę całe masy miłkiego śniegu. Małe, wąskie, „jezyki śnieżne” w ciągu kilkunastu minut urastają do kilkumetrowych zwalów. — Papierosa? — dochodzi mnie z boku pytanie jednego z piaskarzy, którzy przed wyjazdem na trasę zeszli się do dyżurki na ostatniego „cuga”. — Chętnie. Piaskarze mają szczególnie trudne warunki. Mechaniczne piaskarki ciągle są rzadkością, zastępują je więc samochody z piaskiem, na których trzeba godzinami machać łopata na wietrze i mrozie. „Nawet chleba nie ma co brać w kieszeń na drogę, bo i tak zamarzną na kość”. Walka z gołolezią to zresztą prawdziwie syzyfowa robota.

W jednym tylko rejonie łowickim, od listopada wysypano na drogi 3 tys. ton piasku i 250 ton soli.

Najgorzej jest w nocy — mówią — kiedy zawieja wpycha każde słowo do gardła, ręce grabieją mimo rękawic i „przybijania”, a powieki trzeba by podpieierać zapalkami. W taki czas — nie daj Boże pomyśleć o ciepłym domu — śmieje się jeden z piaskarzy — od razu ziemnie i rozkłada człowieka dokumentnie... Tymczasem nie sposób my-

śleć o czymś innym, zwłaszcza, gdy akurat wypada przekopywać się przez metrowe zasy, przenosić samochody na własnych rękach i użerać z kierowcami osobówek i PKS, którzy lekceważąc ostrzeżenia („co — mój wóz nie przejedzie?...”) sami często uniemożliwiają szybkie rozładowanie „korka”. Na prośby o pomoc potrafią nieraz wzruszyć ramionami i powiedzieć: „A robćcie sami — to wasza sprawa, trzeba było przedtem dobrze drogi pilnować...”

Panie — tłumaczyli mi później cierpliwie w jednej z baz zmarznięci i rozgoryczeni drogowcy — przecięć my też jesteśmy ludzie! Robimy co się tylko da. Bywają noce, gdy trzeba kilometrami brnąć w śniegu po pas, aby dotrzeć do telefonu i sprowadzić dodatkową pomoc. Tak łatwo się mówi i pisze: znowu nawallili — ale jak zdążyć na czas z robotą, kiedy plugi gną się i urywają w czasie największej zawieruchy, a ludzie przy łopatach — padają ze zmęczenia...

To prawda. Trudno zresztą o inną, skuteczniejszą metodę walki ze śniegiem niż tę własną — opartą o wysiłek, napięcie nerwów, wytrzymałość i upór drogowców, o ciągle czuwanie przy telefonach („pracujemy jak pogotowie...”) i mozolne systematyczne przecieranie wyznaczonych tras.



A jest co „przecierać”. Sieć dróg państwowych w województwie, czekających na plugi i piaskarki, liczy sobie, bagatelka, 3300 km. W tym 510 km to te, najbardziej ważne, na których w ogóle nie może być mowy o przerwanym ruchu. Wystarczy zresztą wyobrazić sobie tylko ów gigantyczny korek, jaki powstałby na trasie Łódź — Warszawa (obecnie ok. 1630 samochodów na dobie), gdyby tak zasy przerwały tu ruch na pół godziny. Plugi i piaskarki jeżdżą więc po drogach dzień i noc. Bez przerwy. Nadrabiając w ten sposób braki w sprzęcie.

— My to prawie jak marynarze — mówią ci, którzy już niejedną dobę spędzili tej zimy na trasie... Posiedzieć człowieku trochę w domu, nie zdążyć się nawet dobrze rozgrzać, a tu masz ci los, z bazy wzywają i jedź na nowo „w Polskę”. Żony wita nas jak gości od wielkiego święta i nic dziwnego — więcej czasu spędza się w śniegu na szosie niż we własnym domu.

Takich kierowców, piaskarzy, dróżników — zrywanych z łóżka o północy, wzywanych na ratunek od wigilijnego stołu, wracających z trasy z odmrożonymi rękoma, zasypianych na stojąco — jest wielu. Nie wymieniamy tu ich nazwisk — to przecież cała „armia” ludzi, z której trudno byłoby wybrać do pochwały jednych, zapominając o wysiłku drugich.

Wystarczy jednak, jeśli czasem, siedząc w ciepłym pokoju i czytając w gazecie o wielkich zawieruchach, kilkumetrowych zaspach — pomyślimy o nich inaczej niż zwykle — serdecznie...

ZDZISŁAW SZCZEPANIAK

# NA OBCYCH TAMACH

Pod tym tytułem  
znajdziesz zawsze  
najciekawsze  
przedruki.

## Kokosy filmowców?

W DRUGIM NUMERZE „ZYCIA LITERACKIEGO” BARBARA SEIDLER PRZEDSTAWIA FAKTY DOTYCZĄCE FILMU I FILMOWCÓW. M. IN. PISZE ONA: „LUDZIE POWIADAJĄ W KAWIARNIACH „ILEŻ ONI ZARABIAJĄ”. NA OGÓL ZARABIAJĄ WIĘCEJ NIŻ NAJWIŻSI URZĘDNIKI ADMINISTRACJI PAŃSTWOWEJ. ALE I LU ICH MAMY W KPAJU? KILKUNASTU, KILKUDZIESIĘCIU. I KIM ICH MOŻNA ZASTĄPIĆ? ICH TALENT, ICH DOŚWIADCZENIE ZAWODOWE? WIĘC DUŻO TO CZY MAŁO?”  
BARBARA SEIDLER NIE PRÓBUJE ROZSTRZYGAĆ, PRZEDSTAWIA PO PROSTU, MOŻLIWIE SKRUPULATNIE, FAKTY.  
SADZĄC, IŻ TE FAKTY MOGĄ ZAINTERESOWAĆ NASZYCH CZYTELNIKÓW PRZEDRUKOWUJEMY ODPOWIEDNIE FRAGMENTY ARTYKUŁU.

...W roku 1965 Zjednoczone Zespoły Realizatorów Filmowych wyprodukowały 22 filmy fabularne i 45 odcinków filmów telewizyjnych. Koszt produkcji filmów fabularnych wyniósł 174.787 tys. zł, a telewizyjnych - 36.200 tys. zł. Jest to skok ogromny zważywszy, że jeszcze w 1955 roku wyprodukowaliśmy zaledwie 7 filmów fabularnych za 54.119 tys. zł.

Sredni koszt produkcji filmu fabularnego wyniósł w roku 1964 (za rok ostatni brak jeszcze danych) 5 mln 090 tys. zł... Dysponuje tabela, która rozbiła koszty filmu na poszczególne pozycje. I tak: osobowy fundusz plac pocztania 220 tys. zł, honoraria 1.227 tys. zł, prace doraźne 53 tys. zł, koszty usług wytwórni 2.568 tys. zł, wreszcie koszty pozostałe 1.022 tys. zł.

...Maksymalna stawka za scenariusz wynosi 25 tys. zł, w uzasadnionych przypadkach (szczególnie jeśli autorami scenariusza są dwie lub więcej osób) minister kultury i sztuki może stawke podwyższyć do 35 tys. zł. Autorowi, w przypadku dzieła własnego, przysługują ponadto umowa na nowelę w wysokości od 7,5 do 12 tys. zł. Oprócz tego scenarzysta przy skierowaniu filmu do produkcji otrzymuje premię w wysokości 17 tys. złotych.

...Reżyserów mamy w Polsce 45. (Uwaga! Cały czas w rozważaniach tych mówimy o filmie fabularnym, a więc wykluczeni z naszych rachunków i podliczeń są filmowcy zajmujący się filmem dokumentalnym, oświatowym, animowanym). Reżyserzy dzielą się na kategorie. Z posiadaną kategorią wiąże się ściśle wysokość umowy o dzieło filmowe. Na 45 reżyserów 12 zakwalifikowanych jest do kategorii I, 17 do kategorii II, 12 do kategorii III, 4 reżyserów jest już wprawdzie po debiucie, ale kategorii im jeszcze nie przyznano. Operatorów jest 35 (w tym: 8 kategorii I, 15 kat. II, 12 kat III), kierowników produkcji zaś 37 (w tym 18 kat. I, 4 kat. II i 15 kat. III).

Wszyscy ludzie trudniący się realizacją filmów posiadają stałe etaty z niewysokimi miesięcznymi pensjami. Dla przykładu: montażysta otrzymuje do 1400 zł miesięcznie; scenograf do 1700 zł, tyłu charakterystyczny; operator dźwięku, kierownik produkcji i operator obrazu od 1400 do 1900 zł, reżyser od 1700 do 2400 zł. (Wszystkie te uposażenia, tak jak i umowy o dzieło, związane są z kategorią). Stosunkowo najwyższe pensje, bo do 3000 zł mają kierownicy artystyczni i szefowie produkcji zespołów oraz kierownicy literacy - do 2800 zł.

To są pensje stałe, miesięczne, wypłacane bez względu na to czy dany człowiek w tej chwili pracuje nad określonym filmem czy też ma przerwę. Nadmienić trzeba, że przestój pracownika będącego na tzw. „gotowości” opłacany jest tylko 6 miesięcy.

Umowa o dzieło stanowi o wysokości honorariów placanych realizatorom filmu w ratach zbiegających się z poszczególnymi etapami produkcji. I tak: reżyser otrzymuje za film od 60 tys. (przy kat. III) do 100 tys. (przy kat. I), operator od 40 tys. do 60 tys. zł, kierownik produkcji od 30 tys. do 50 tys. zł...

Do niedawna po kolaudacji, czyli po ocenie i przyjęciu filmu, realizatorom przysługiwała nagroda. Obecnie nagrody zostały zniesione, natomiast realizatorzy otrzymują jeszcze wpływy z tzw. tantiem. Przyjęto bowiem zasadę, że przy ocenie filmu nie wolno odrywać dzieła od widza i ustalono, że właściwie tyle jest wart film - ilu ludzi zechce go obejrzeć. Po-

stanowiono więc, że z uzyskanych wpływów brutto wynoszących 100 proc. rzeczywistych kosztów produkcji przeznaczają się dodatkowo na fundusz wynagrodzeń do podziału: przy filmach o wybitnych wartościach ideowych i zachowaniu wysokiego poziomu artystycznego - 300 tys. zł, przy filmach o wysokich wartościach artystycznych lub filmach o wysokiej użyteczności społecznej - 255 tys. zł, wreszcie przy filmach pozostałych 210 tys. zł. Koszty te winny się zwrócić w przypadku filmów kategorii pierwszej - w ciągu 5 lat eksploatacji, w przypadku filmów pozostałych - w ciągu 3 lat eksploatacji. Po tym okresie kończy się wypłacanie tantiem.

...Operowanie wszelkimi średnimi jest zawsze mylące. Bo, oczywiście, w średniej mieszczą się zarobki zarówno najniższe jak i najwyższe. Ale mimo wszystko operowanie średnią jest tu konieczne. Już chociażby z takiego punktu widzenia: reżyserzy najwyższej klasy, że wymienię choćby Wojciech Kwaśniewski, Hana Hasi, a nawet kilkuletnie przerwy w pracy. Odpoczywają, co jest naturalne, po ostatnim filmie, szukają następnego scenariusza, nie zawsze scenariusza, nad którym pracują razem ze scenarzystą, przechodzą przez komisję, są zresztą dziesiątki powodów, dla których owe przerwy się zdarzają i wówczas średnia zarobków miesięcznych nie przekracza 4-5 tys. zł. Mieli swoje „chude” lata wymienieni już wyżej reżyserzy, miał Kuc, Dziedziła, Nalecki, Zarzycki, miała Bielińska - kto ich wreszcie nie miał? A potem przychodzi film, umowa i zarobki skaczą niekiedy i do 25 tys. zł miesięcznie.

Oto średnia miesięczna z roku 1964 (w nawiasach podaję średnią z roku 1963): kierownicy artystyczni - 21.903 zł (17.985), kierownicy literacy - 15.517 zł (10.149), szefowie produkcji - 14.697 zł (11.615), reżyserzy - 11.581 (9.809), operatorzy - 9.351 zł (8.043) (scenografowie - 8.031 zł (7.392), kierownicy produkcji - 7.690 zł (6.899)).

Wylczyłam tu grupy podstawowe. Już z publicznego rzucenia okiem na te liczby wynika, że wszyscy kierownicy zespołów odbijają znacznie od pozostałych grup zawodowych. Wpływają na to, jak się wydaje, dwie podstawowe sprawy. Kierownikom zespołów (7 reżyserów i 7 szefów produkcji) przysługują z tytułu umowy przy każdym produkowanym w danym zespole filmie wynagrodzenie za nadzór: dla kierownika artystycznego 22.500 zł przy każdym filmie (45 tys. zł przy debiucie), dla szefa produkcji 20 tys. zł. Dochodzą do tego tantiemy, o których była już mowa wyżej. Reżyserzy - kierownicy artystyczni robią ponadto najczęściej filmy sami, w ich zarobkach podsumowane więc zostały dochody z filmów własnych i z tytułu nadzoru. A nadzór ten, opleka inaczej mówiąc, czasem jest bardzo pracochłonny.

Omawiając następnie sprawy kosztów produkcji oraz „mitycznych” zarobków aktorów, autorka konkluduje:

„Jeśli już dyskutować publicznie o świecie filmowym zaczynamy, dobrze jest zdawać sobie sprawę z bazy, na jakiej to środowisko żyje i działa. I dobrze jest pamiętać, że zawód to trudny i odpowiedzialny, i że na ogół talenty zarówno reżyserskie jak i operatorskie i aktorskie na kamieniach się nie rodzą - i za ich wyniki pracy, które nam przeżyją i wzruszeń dostarczą i które m. in. kształtują polską kulturę - my wszyscy coś im winni jesteśmy”.



## Potrąwka statystyczna

Uprogu każdego roku felietoniści raczą nas potrąwką - z najnowszego wydania rocznika statystycznego. Niechże mi będzie wolno pójść w ich ślady z tą tylko różnicą, że postępuję się wydaniami już nie najnowszym, bo przedwojennym. Ścisłej, rocznikiem statystycznym m. Łodzi z roku 1929, dwujęzycznym, pod redakcją Edwarda Rosseta.

Kto z Państwa wie, że położenie geograficzne wieży ratuszowej (dzisiejsze archiwum) równe jest akurat 51 stopni 45 min., 45 min. szerokości geograficznej płn. 19 stopni, 27 min., 44 sek., długości geograficznej wschodniej, zaś miejscie, na którym stoi pomnik Kościuszki wyniesione jest 210,2 m nad poziom

morza? Ale oto dane geografii mniej upajającej: emigracja zarobkowa - 664 osoby, z reguły ojcowie rodzin, wyjeżdżający głównie do Francji i Belgii. Zdecydowana większość z nich to robotnicy. Cel, czego rocznik nie przemilcza: poszukiwanie pracy. I tak, poprzez złudne wojaże ludzkie na łódzkim bruku, Łódź poszukuje pracy co miesiąc od 30 do 40 tys. bezrobotnych, zaś liczba zaofiarowanych miejsc z reguły nie przekracza tysiąca.

I mimo że narażę się na opinie lubujące się w makabreskach, muszę podać teraz dane liczbowe z rozdziału „Moralność społeczna”, ponieważ ilustrują one zjawiska towarzyszące tej katastrofie na rynku pracy. A są to: samobójstwa (103 udane i prawie dwa razy tyle nieudanych); przestępstwa (ogółem 58.829); alkoholizm (5200 osób zatrzymanych przez policjantów) i prostytutka (175 kobiet zarejestrowanych, plus 523 podlegające obserwacji). Oszczędzę Państwu również niemilych danych na temat zgonów, zachorowalności na gruźlicę i chorowania biedaków na koszt miasta, bo nawet u „trupisty” me

### Horacy Safrin

**T**wierdzą poniekąd, że człowiek uczony. Cóż? Dali mi szkołę trzy kolejne żony.

**C**ierpliwości od serca może się najchętniej: wtem już go nadużył - a ono wciąż tętni!

**P**isząc je, wzdycham często i pytam w pokorze: „Kiedy moje zmartwienia między bajki włożę?”

**C**heciałbym, gdy na mym progu zjawi się Kostucha nawet w śmierci godzinę nie wyznając ducha.

**O s o b i e**

KONRAD FREDLICH

## BEZ WIZ I DEWIZ PRZEZ SWIAT HUMORU

### Dziś tylko do oglądania

★ POWIEŚĆ „DZIENNIKA” ★ POWIEŚĆ „DZIENNIKA” ★ POWIEŚĆ „DZIENNIKA” ★ POWIEŚĆ „DZIENNIKA” ★ POWIEŚĆ „DZIENNIKA”

## KEMMEL Hum. J. Swiatlaka

# BYŁEM NA MARSIE

- Mogłbym pracować np. w garażu. Z zawodu jestem mechanikiem.  
- Dobrze. Złożymy podanie.  
- Każdy ma tu prawo do pracy, mam nadzieję - rzekł Bouquer zaczeplenie.  
- Jedna czwarta ludności. Dwie godziny dziennie - odparł sucho Marsjanin.  
- Jedna czwarta ludności?  
- Otworzywszy szeroko oczy osłupiał Bouquer powtórzyl po chwili:  
- Jedna czwarta ludności? A reszta?  
- Reszta pracuje na zmianie. Jeden tydzień w miesiącu.  
- A pozostałe trzy tygodnie? Z czego żyją? Teraz z kolei zdumiał się numer pierwszy.  
- Tutaj każdy dostaje to, co mu się należy! Bez względu na to, czy pracuje, czy nie - oświadczył.  
- A to zabawny kryzys - krzyknął Bouquer - a ja się obawiałem, że czeka mnie los bezrobotnego!  
- Tutaj maszyny wykonują prawie wszystkie prace. Do kontrolowania tych maszyn są znowu inne maszyny. Kilku inżynierów ma ogólny nadzór nad całością. Pracują o dwie godziny przez jeden tydzień w mie-

siącu. Ale, jak się wydaje, i ten czas zostanie niebawem zredukowany.

Zabrałem głos:  
- Czy nie istnieją mimo to pewne prace, do których wymagana jest zdolność wyboru i decyzji? Krótko mówiąc, inteligencja?  
- Pewna inteligencja w ograniczonym zakresie, tak, panie Boulanger. Toteż skonstruowaliśmy żywe maszyny.  
- Żywe maszyny! - krzyknąłem.  
- Ależ tak - zapomniał mnie numer pierwszy z całym spokojem - mające mózg odpowiedni do danej pracy. Czymże są nasze polipy? To po prostu żywe roboty.  
- Żywe roboty!  
- Tak, możliwości biologii są nieograniczone. To jest tylko kwestia cierpliwości i czasu.

### ROZDZIAŁ XII

Nazajutrz z samego rana zostałem dosłownie wyrwany z łóżka przez mojego Marsjanina numer pierwszy. Ow, zwykłe spokojny i flegmatyczny, znajdował się w stanie wielkiego wzburzenia.

- Co się dzieje? - zapytałem włączwszy swój aparat.  
- Idziemy natychmiast do pałacu rządowego - oświadczył. Minister kolonizacji kosmicznej chce pana widzieć, panie Boulanger!

- Świetnie - powiedziałem. - Ucałuję tylko Selmę i jestem do pańskiej dyspozycji. Czy załatwił pan już u władz zezwolenie na nasz ślub?

Uniósł swoje wielkie ramiona i potrząsnął przecząco głową:

- Dam panu radę... Niech pan poprosi ministra, żeby rzekł słowo za panem w Urzędzie Stanu Cywilnego. Jeśli minister zechce,

formalności miał trzy miesiące potrwać tylko trzy dni!

- Świetnie! Zupełnie jak u nas we Francji... - mruknąłem rozpromieniony.

Budynek Ministerstwa Kolonizacji Kosmicznej nie wyróżniał się niczym od pozostałych. Wchodziło się również przez dach. Zajeżdżaliśmy windą do wnętrza. Przeszliśmy przez jeden, dwa, trzy duże pokoje biurowe, w których sprawowały straż polipy jako woźni.

Wreszcie ostatni polip otworzył nam drogę do mniejszego pokoju, gdzie za biurkiem siedział Marsjanin. Wyglądał tak jak wszyscy inni, tzn. miał szarosiłowe oczy, ogromną gołą czaszkę, blade policzki i duże usta. Działalność Urzędu Eugeniki na tej planecie doprowadziła po wielu wiekach do ukształtowania się standardowego typu Marsjanina powtarzającego się w milionach egzemplarzy.

Minister kolonizacji kosmicznej odpowiedział na moje pozdrowienie kładąc palec na ustach, po czym wziął stuchawkę, którą mu z uszanowaniem podał numer pierwszy.

- Pozdrawiam pana, panie Boulanger. Niechże pan siada.

Wspiałem się z trudem na wysoki marsjański fotel i usiadłem z nogami zwisającymi nad podłogą. Minister przypatrywał mi się z zainteresowaniem.

- Doprawdy - rzekł - wypada błogosławić ten szczęśliwy rzut siatką, który sprawował pierwszy Ziemijski Człowiek na Marsa. Winstując też sobie, że człowiek ten wyróżnia się kulturą i inteligencją.

Pochyliłem głowę w podzięk. On zapytał:

- Na Ziemi jest w tej chwili wojna?

- Nie, panie ministrze.

- A jednak nasi astronomowie obserwa-

ją u was od czasu do czasu eksplozje atomowe. Co to ma znaczyć?

- Ach, to nic - rzekłem. - To są próby, doświadczenia.

- Nie rozumiem tego - podjął. - Po cóż powodować wybuch dziesięciu bomb na raz? Jedna wystarczy całkowicie do sprawdzenia danych uzyskanych w laboratorium.

- To bawi naszych generałów, panie ministrze.

Potrząsnął głową z dezaprobatą:  
- Zrobilibyście lepiej, zabawiając ich w inny sposób. Wasi uczeni mogliby się zająć czymś pożyteczniejszym... Wreszcie, domyślam się, jesteście właśnie u progu ery atomowej. U nas pracowano nad tym 500 czy 600 lat temu. Od tego czasu zrobiliśmy pewne postępy. 50 lat wystarczyło nam, żebyśmy zrozumieli, iż energia atomowa jest dla ludzi bezużyteczna, zajęliśmy się więc energią kosmiczną.

- Bezużyteczną? - zapytałem.

- Tak. Stosujemy ją tylko do rakiet kosmicznych, bo w przestrzeni radioaktywność rozprzasa się i gaśnie.

- Trzy lata - rzekł po chwili - znajdowaliśmy się o włos od zagłady systemu słonecznego. Z winy mieszkańców Wenus. Ci głupcy odkryli właśnie bombę; znajdowali się w tym samym stadium techniki co wy teraz. Wybuchła wojna między dwoma państwami na Wenus. Nasi astronomowie zaobserwowali setkę prawie równoczesnych eksplozji. Po-

tem nic. W sześć miesięcy później skonstatowaliśmy, że w barwie planety,

(25)

(Dalszy ciąg na str. 5)

STANISŁAWA FLESZAROWA-MUSKAT

# NOC nie jest krolestwem

I

Profesor szedł szybko długim korytarzem szpitalnym, wyprzedzając nieco swoich dwóch umundurowanych towarzyszy. Posługaczka w białym kitlu opuszczała właśnie papierowe zaciemnienie na wysokie okna. Tylko dwa w końcu korytarza świeciły jeszcze nikłym blaskiem zniczy.

Na dworze padał deszcz, powolny deszcz wiosenny. Kobieta popatrzyła chwilę na krople spływające po szybie, potem rozluźniła sznur rolety. Zwój papieru opadł z chrzęstem. Otwór okienny zagasił, jakby go nagłym chłusnięciem zalała fala ciemnego deszczu.

Profesor szedł w uciekające przed nim światło, ale zanim czarna zasłona opadła na ostatnie jego źródło, jakieś drzwi otworzyły się bezszelestnie, a jeden z towarzyszących mu ludzi powiedział cicho:

— To tutaj.

Pierwsze spojrzenie wchodzącego lekarza padało zwykle na chorego, ale wzrok profesora zatrzymał się najpierw na wysokiej postaci człowieka, który na jego powitanie wstał z krzesła.

— „Ojciec” — pomyślał.

Profesor nie znalazł się w wojskowych dystynkcjach; generała od kaprała odróżniał raczej po kroju cholew niż po wzorach wyszywanych sutazem. Naramienniki munduru Niemca lśniły jednak złotem zbyt natarczywie, aby mógł nie zauważyć tego szczegółu. Krótkim spojrzeniem obrzucił także jego twarz, szara, powleczoła znużeniem tak głębokim, że zgasiła jej barwa wydawała się prawie malarskim efektem przy świetnym kolorystyce munduru.

Niemiec zbliżył się szybko do profesora i uściśnął mu rękę.

— Jest pan nareszcie — powiedział z ulgą.

Profesor nie lubił mieć do czynienia z ludźmi okazującymi mu zbyt wiele zaufania.

— O co chodzi? — zapytał sucho.

Siedząca przy łóżku pielęgniarka podniosła abażur lampki na stoliku — światło padło na twarz chorego, ale nie drgnął w niej żaden muskuł.

Profesor zdjął płaszcz, nałożył podany mu kitel, starannie zapinał guziki.

Młody lekarz niemiecki, którego światło lampki wydobyci z mroku przy łóżku, zdenerwowany głosem opisywał wypadek. O ojcu mówił „Herr General” i schylał się w ukłonie, o synu „Herr Sturmführer” i nie kłaniał się, ponieważ tamten był tylko pacjentem.

Można było nie znać się na lacińskich terminach, których — prawdopodobnie ze względu na osobę ojca — nadużywał młody lekarz, można było nie rozumieć żadnego ze słów, które wyrzucał z siebie z pośpiechem, jakby to on miał za chwilę umrzeć, dręczony strasznym uczuciem niedopowiedzenia wszystkiego do końca. W barwie jego głosu była wieść o śmierci i profesor, przenosząc wzrok z jego rozgorączkowanej twarzy na blade oblicze hitlerowskiego dygnitarza, pragnął, żeby tamten to zrozumiał, żeby sam się tego domyślił, żeby nie musiał usłyszeć tego od niego.

General nie słuchał tego, co mówił lekarz. Wpatrywał się intensywnie w profesora.

— Mój syn ma dwadzieścia jeden lat — powiedział bez związku.

Profesor uczył nagłe zażenowanie. Od początku wojny żył w bezustannym lęku, aż śmieszny dla otoczenia. Każdy dźwięk dzwonka u drzwi był dla niego zapowiedzią nieszczęścia. Trzeba było z czegoś żyć, musiał więc na nowo podjąć się leczenia, o pracy naukowej i tak nie było mowy, bez pomocy i laboratorium — ale przyjmował chorych tylko z polecenia znajomych i to w dość ścisłej dyskrekcji. Operował w klinice przyjaciela z miastem. Wieczorami czytał Londona, Conrada i książki z dźwiękiem zachodu, wysperane w bibliotece syna. Mógł wtedy, że wyjeżdża za granicę. Na widok niemieckiego munduru dostawał dręszczy. Teraz jednak jego potężny rozmówca w mundurze generała SS wydał mu się tak żalony, że uczył do niego prawie ugrunтовaną



profesję za niclicujące z jego godnością zachowanie. Pielęgniarka opuściła głowę, niemiecki lekarz zbliżył się do łóżka i gorliwie pochylili się nad chorym.

— Dwadzieścia jeden lat — powtórzył generał, zagłajając profesora w oczy.

Profesor odsunął się.

— No, tak — powiedział szybko. — Zobaczymy.

Badanie potwierdziło poprzednie przypuszczenia. Stan był beznadziejny: postrzał wątroby, z dużym krwotokiem wewnętrznym, za późno dana transfuzja. Zgon mógł nastąpić lada chwila.

Trzymając palce na pulsie chorego profesor dziwił się, że czuje jeszcze pod nimi to słabe drganie życia, ten wciąż jeszcze powtarzany meldunek istnienia.

— Kiedy to się stało? — spytał, żeby coś powiedzieć.

— W nocy.

— Jak to? I do tej pory?...

— Wypadek zdarzył się w lesie podczas polowania.

Niemiec szukał słów, aby nie powiedzieć niczego więcej, ponad wyjaśnienia niezbędne lekarzowi.

Profesor zapytał pośpiesznie:

— Czy przede mną byli wzywani inni lekarze?

— Tak.

— Jaka jest ich opinia?

Profesor wiedział, że nie powinien był stawiać tego pytania. Ale skoro padło, nie zniżając spojrzenia czekał na odpowiedź.

General milczał. Chory poruszył się niespokojnie, jęknął. Dłoń zwisająca z łóżka rozwarła się i zamknęła gwałtownie.

— To nie był lekarz — wybuchnął ojciec. — To były te wypędy, ci tandeciarze, którzy tu ściągają z Reichu. Był młodszy asystent z Berlina jest tutaj dyrektorem szpitala.

Profesor zerknął kątem oka na niemieckiego młodszego kolegę. Stał oparty o ścianę z twarzą bez wyrazu w spokojnym oczekiwaniu zakończenia sceny.

— Te nie były lekarze. Co oni mogli mu pomóc? Pojęcia nie mają o ratowaniu człowieka. Ale pan! Pan! Tyle o panu slyszalem: znakomity polski uczone!

Jeśli powiem, że nie będę operował, a on umrze — ojciec będzie pewny, że mógłbym go uratować, gdybym podjął się operacji — myślał profesor w poplochu. — Jeśli zacznę go operować, a on umrze mi pod nożem, wtedy i dla mnie nie będzie ratunku”. Profesor czuł, że na czoło występują mu krople potu. „Muszę mu powiedzieć” — myślał gorączkowo, podczas gdy Niemiec powtarzał pośpiesznie:

— Pan! Tylko pan może go uratować. Mówiono mi, że wyjął pan odłamek granatu, tkwiący o milimetr od serca. W trzydziestym dziewiątym roku. Czy to prawda? Niech pan powie — czy to prawda?...

— Tak, ale to była jedyna rana, bez upływu krwi i ogólny stan chorego był...

— Pan nie sądzi chyba? — głos Niemca drgnął i profesor zrozumiał, że niczego mu nie wytłumaczy.

— Proszę przygotować wszystko do operacji — powiedział do niemieckiego lekarza nie patrząc mu w oczy.

Kurt Eckelmann, dwudziestoletni Sturmführer, syn generała Eckelmanna — dowódcy dywizji SS na okupowanych terenach — umarł na stole operacyjnym, zanim profesor Luminecki zdążył wydać polecenie narkozy.

Ojciec przyjął jego śmierć z opanowaniem.

Gdy profesor wszedł do pokoju, żeby zabrać swój płaszcz, zastał go przy oknie z dłońmi splecionymi na piersiach. Odnosił wrażenie, że dopiero teraz widzi jego prawdziwą twarz: nieprzeniknącą tajemnicę naskórka i mięśni przyzwyczajonych do kontrolowanego przez mózg układu.



— Odwożę pana — odezwał się nagle, gdy profesor pośpiesznie narzucał palto.

Luminecki zastygł nie zdążywszy wciągnąć drugiego rekawa.

— Dziękuję — wyjął — proszę się nie trudzić.

— Ale generał stał już w drzwiach i zapraszał go gestem do wyjścia. Idąc korytarzem wyprzedzał nieco profesora, jakby popechany niecierpliwym pragnieniem jak najszybszego wydotania się ze szpitalnych ścian, woni i ciszy.

Profesor postępowal za nim. Wysoka, bardzo wyprostowana sylwetka Niemca wydawała mu się drażniącym szczegółem w białym krajobrazie szpitala, do którego przywykł od lat. Myślał, jak mała, jak żądną prawię rolę odegrał w tragedii, której był świadkiem. Nie miał powodu, aby się bać. Wszystko stało się poza nim, poza zasięgiem jego interwencji. Nie można go było winić nawet za to, że przybył za późno. Wsiadł do samochodu w dwie minuty po pojawieniu się SS-manów w jego domu. A jednak — bał się. Dążył do tego, żeby generał zrezygnował z kurtuazji, którą mu chciał okazać, i pozwolił mu odejść ciemnymi ulicami, zanurzyć się w deszczu i mroku. Ale generał milczał, a profesor nie miał odwagi po raz drugi prosić go, aby zaniechał powziętego zamiaru.

Przed samochodem czekał młody, umundurowany kierowca. Gdy otwierał drzwiczki, profesor spostrzegł jego pełne żalu i zmieszania spojrzenie, jakim starał się przekazać generałowi swoje współczucie. General nie wrócił ku niemu głowy. Wskazał profesorowi miejsce w tyle wozu, a sam usiadł z przodu, obok kierowcy.

Profesor przykniął oczy. Wóz ruszył miękko po gładkim cemencie szpitalnego dziedzińca. Gdy wyjechali za brame, z ulgą powitał skręt w prawo, który był pierwszą nadzieją pomyślnego powrotu do domu. Wciąż nie podnosząc powiek czekał, przyczajony wewnętrznie, na każdy nowy zakręt, a gdy następował, kiedy przestawał się już go spodziewać, profesor opadał na poduszkę samochodu, wyczerpany oczekiwaniem i lękiem.

Na prostym odcinku drogi myśl jego, uspokojona na chwilę, wracała do siedzącego przed nim człowieka, którego objaw pychy przyjmował jako jeszcze jeden objaw pychy jego narodu. W miarę jednak zbliżania się do domu profesor byłby może nawet skłonny wyrazić mu swoje współczucie — gdy nagle przez w półotwarte okno wpadł gwałtowny, wilgotny powiew, w którym poczuł znajomy zapach Wisły.

Zaczął teraz myśleć o domu, o swoich dzieciach, o Zygmuncie, którego niewiadomy los mógł być także śmiercią. Poszedł na Węgry, ale czy przeszedł? Może nigdy nie będzie tego wiedział... Pozostawał jeszcze strach najbliższy o Magdalene. I ona także była zagrożona. Wszyscy byli zagrożeni, ani jeden człowiek w kraju nad tą rzeką nie miał spokojnego dnia ani nocy. Ale ona... — profesor uczył bolesne ukłucie w sercu — ona nie była przygotowana nawet na szczęście, a cóż dopiero na cierpienie. Począł się niecierpliwie, że samochód jedzie zbyt wolno. Chciał być już w domu, zobaczyć ją, upewnić się, że jest, że nie się jej nie stało.

Jechali przez most. Profesor uniósł ostrożnie powieki i patrzył długo na polyskującą w dole rzekę.

— Idź już! — powiedziała Magdalena. — Musisz się śpieszyć.

— Zdażę. — Andrzej wsunął ręce między jej plecy a mokry pień drzewa, pod którym stali. Padał drobny wiosenny deszcz. — Widzisz — powiedział — gdybyś się nie upierała, nie byłoby tych głupich odprawowań i strachu przed godziną policyjną. Dlaczego właściwie nie chcesz?

Magdalena podniosła kołnierz płaszcza. Nie miała ochoty rozpocząć codziennej dyskusji, która zawsze kończyła ich spotkania. Ale wszystko wskazywało na to, że i ten wieczór nie będzie wyjątkiem.

— Nie kochasz mnie — szepnął Andrzej.

Poruszyła się ze zniecierpliwieniem.

(Dalszy ciąg nastąpi)

## KEMMEL *Thun, J. S. Smith* BYŁEM NA MARSIE

która do tej pory zmieniała się podobnie jak i u was zgodnie z porami roku, wystąpiły anomalie. W pełni lata Ara stała się brązowa, a nie zielona jak dotąd.

Ukończyliśmy właśnie budowę statku kosmicznego. Wysłaliśmy tam ekspedycję, która stwierdziła, że na planecie tej wygasło wszelkie życie. Ani jedno zwierzę, ani jedna roślina, nawet najniebezpieczniejszy pierwotniak w głębinach oceanu, nie uszły zlanu radioaktywnych gazów! Oto, czym grozi zabawianie się atomem!

— Mój Boże — szepnąłem.

Z zamyślenia wyrwał mnie głos ministra:

— Z chwilą gdy mieliśmy już pewność, że życie na Wenus zostało zupełnie zniszczone, pomyśleliśmy o skolonizowaniu tej pięknej planety. Należało jednak czekać, aż ustanie zabójcze działanie radioaktywnych promieni. Nowa ekspedycja stwierdziła, że obecnie można tam osiedlać się bez przeszkód. Sądymy, że i gleba nie jest już radioaktywna. Za trzy dni polecę tam wraz z nową grupą badawczą. Jako ministrowi kolonizacji kosmicznej wypada mi pierwszemu postawić nogę na tej planecie.

Przyznałem mu rację.

— Zadanie jest trudne, a jego realizacja wymagać będzie sporo czasu — podjął. — Chodzi o zasadzenie tam roślin. Potem trzeba będzie zaadaptować zwierzęta. Jedne i drugie muszą żyć, rozwijać się i rozmnażać w atmosferze dużo gęstszej od naszej, marsjańskiej. Lecz za to atmosfera ta bardzo podobna jest do ziemskiej... Co wiecie o Wenus tam, na Ziemi?

— Nie jestem astronomem, panie ministrze — odpowiedziałem — i wiem niewiele. Słyszałem tylko, że o ile obserwacja Marsa jest ułatwiona dzięki przejrzystości jego atmosfery, o tyle prace badawcze nad Wenus utrudniają gęste obłoki zakrywające jej powierzchnię.

— My mamy te same trudności, panie Boulanger. — Chcę powiedzieć, mieliśmy te same trudności aż do chwili, gdy mogliśmy udać się na miejsce. Pokażę panu zdjęcia, które zostały tam zrobione. Oto one!

Naciśnął guzik, jeden z tuzina na biurku. Rozjaśnił się szklany, podłużny ekran. Ukazał się na nim zarys półkuli Ziemi.

Minister patrzył na mnie, uśmiechając się. Uśmiechnąłem się i ja, ale z zażenowaniem. Potem powiedziałem:

— Pan pomylił guzik, panie ministrze. To jest Ziemia.

Potrząsnął głową przecząco i śmiał się dalej.

— Nie, panie Boulanger. To jest mapa planety Ara, którą wy nazywacie Wenus. Mimo to ma pan rację. To jest równocześnie mapa Ziemi. Z tej prostej przyczyny, że Ziemia i Wenus to dwie bliźniacze planety. Z jednego „jajka”. Jedna jest słożoną kopią drugiej.

— Czyż to możliwe? — szepnąłem zdumiony do ostatnich granic.

— Skonstatowaliśmy ten fakt, a potem nasi uczeni znaleźli wyjaśnienie. Przy formowaniu orszaku planet w naszym systemie słonecznym, jedna większa masa materii rozpadła się na dwie kule o tych samych wymiarach: na przyszłą Ziemię i na przyszłą planetę Wenus. W owym czasie Mars, starszy od obu, stygł już. Fomijam szczęśliwie, aby przejść do najważniejszego. Ziemia i Wenus rozwijały się równolegle, w identyczny sposób. Życie roślinne a potem zwierzęce narodziło się w tym czasie. Człowiek pojawił się dokładnie o tej samej godzinie tu i tam.

— Człowiek! — zawołałem.

— Człowiek, który żył na Wenus jeszcze trzy lata temu, panie Boulanger. Zbudowany był tak samo dokładnie jak Człowiek Ziemski. — Przerwał na chwilę, zbyt przejęty, by rzec słowo, kiwałem tylko w zamysłeniu głowę. Znowu zaczął:

— Przechodzę do wniosków: jeśli chcemy aklimatyzować rośliny na Wenus, nie ma sensu brać nasion stąd, z Marsa, gdzie warunki są zupełnie inne. Jeszcze mniejsze są szanse udania się hodowli zwierząt marsjańskich na Wenus. Natomiast możemy być pewni sukcesu, jeśli przeniesiemy na tę planetę rośliny i zwierzęta z Ziemi.

— I... ludzi, zapewne? — zapytałem.

Popatrzał na mnie szybko.

— Na pewno nie wbrew ich woli, panie Boulanger, co do tego może pan być spokojny! Pańska obecność na Marsie to rezultat czystego przypadku. Ale korzystając z niego mogliśmyby zawrzeć traktat z Ziemią i podzielić się z nimi korzyściami eksploatacji planety Wenus w zamian za siłę roboczą. Jeśli nie dojdziemy do porozumienia z naszymi rządami, przystosujemy do

tych zadań nasze polipy. Robiliśmy już trudniejsze rzeczy...

— Na razie zadam panu pytanie: czy zna pan dobrze geografie Ziemi?

— Dość dobrze, panie ministrze.

Oparł się znowu o poręcz fotela i zaparkował się w sufit. Po kilku sekundach rzekł krótko:

— Świetnie, jest tam także dwoje Anglików, jak słyszałem?

— Tak. I jedna Chilijka, która dobrze zna Amerykę Południową.

— Wobec tego zabieram was wszystkich. Przygotujcie się do tej podróży. Startujemy za trzy dni.

— Dobrze, panie ministrze. Mam jeszcze małą prośbę... Czy mógłby pan, panie ministrze, szepnąć słowo do władz, aby nam ułatwić ślub, Selmie i mnie?

— No cóż... postaram się.

Sklonił głowę z pożegnaniem uśmiechem na twarzy. Widać było, że myśli już o czymś innym.

### ROZDZIAŁ XIII

Nareszcie znalazłem sposób pozbycia się męczącej nieco opieki naszych Marsjan. Wrociwszy do siebie zażądałem tektury, nożyczek i ołówka, farb. Wytłumaczyłem ziemskim towarzyszom, na czym polega projekt. W godzinę sfabrykowaliśmy karty do czterech gier. Następnie włączyłem aparat i wytłumaczyłem numerowi pierwszemu zasady gry w brydża, Selma nauczyła canasty Marsjanina numer drugi. Bouquer objaśnił pokera numerowi czwartemu. Conchita zaś zająła się numerem szóstym, który, jak się zdaje, był w niej zakochany po uszy. I wyjaśniła mu, co to jest „oczko”.

(25) (Dalszy ciąg nastąpi)

